„Wysiedlenia, deportacje, łagry, wypędzenia"

Alicja Marczenko
klasa druga
Zespół Szkół Ogólnokształcących i Technicznych
w Jeleniej Górze
opiekun – Karol Koper

Jest to historia mojego dziadka Mikołaja Marczenko, który wraz z całą rodziną został zesłany na Syberię. Opowieść tą spisuję tak, jak została mi przez niego opowiedziana.

Mój ojciec, a twój pradziadek urodził się w 1891r. Kijowie. W czasie wojny polsko-bolszewickiej był ułanem w rosyjskim wojsku. Jako młody żołnierz zapoznał się z moją matką i po uzyskaniu zezwolenia od swojego dowódcy, ożenił się z nią. Polacy w tym czasie wyparli wojska rosyjskie i ustanowili granice Polski, które były niezmienne, aż do II wojny światowej. Gdy wojska rosyjskie wycofywały się w głąb Rosji, mój ojciec nie poszedł z nimi. Rodzice zamieszkali w nowopowstającej II Rzeczpospolitej w Stolinie (obecnie miasto na Polesiu na Białorusi, 15 km od granicy z Ukrainą). Ojciec przez resztę życia był gajowym, później podleśniczym. Dodatkowo trudnił się handlem końmi, ponieważ był samoukiem weterynarii. Często bywało tak, że kupował chore i wychudzone konie, leczył je i sprzedawał, by mieć za co wyżywić rodzinę. A rodzinę miałem liczną. Byłem ja i sześcioro rodzeństwa.

Po wybuchu II wojny światowej, przyszli do domu Rosjanie i twierdzili, że są tutaj z polecenia naszego polskiego rządu, w co nikt oczywiście nie uwierzył. Zaczęli robić czystkę. Na przesłuchania zabierali wszystkich nauczycieli, dyrektorów i innych ważnych i mądrych ludzi, a po dwóch miesiącach zabrali także mojego ojca. Po kilku dniach wypuścili go i kazali mu nadal być gajowym. Minął miesiąc, może dwa, aż 10 lutego 1940 roku w nocy przyjechała furmanka, czyli sanie zaprzęgnięte w kilka koni. Akurat wtedy jak na złość była najostrzejsza zima, a my nawet nie mieliśmy dobrych butów. Chodziliśmy w letnich, bo nie stać nas było na cieplejsze. Najbliższa stacja od naszego domu była oddalona o 7-10 km. Chcieli nas zabrać z domu, ale my nie byliśmy na to przygotowani. Moja mama i rodzeństwo bardzo płakali i przeżywali to mocno. Ja chodziłem wtedy do szkoły i tata dostał kiedyś taką szkolną torbę, która mi podarował i do tej torby pozbierałem swoje książki, nałożyłem byle jakie buty i czekałem. Dwóch żołnierzy rosyjskich pilnowało nas w domu, a trzeci był przy saniach. A wracając do mojego ojca. Po tym jak kazali mu być gajowym, przed całym tym zdarzeniem, zabrali go do więzienia w Stolinie na stałe. My myśleliśmy, że go wypuszczą i pojedzie z nami, ale niestety tak się nie stało. Więzienie to było na następnej ulicy obok naszego domu, więc matka płakała i prosiła tych żołnierzy, żeby ją zaprowadzili do ojca. Mówiła, że chciała się poradzić go co ma robić, co zabrać, chociaż nie pozwalano nam zabierać nic oprócz suchego chleba. Niestety chleba nie mieliśmy, bo to była noc z piątku na sobotę i zrobiony był dopiero rozczyn, z którego w sobotę rano matka by upiekła chleb dla nas na cały tydzień. Mój starszy brat chciał pójść do stajni popatrzeć ostatni raz na konia i krowy, ale nie chcieli go wypuścić z domu, bo bali się, że ucieknie. Wtedy powiedział, że chce do ubikacji, a nie mieliśmy łazienki w domu, tylko wychodek na zewnątrz. Niestety wtedy też nie udało mu się uciec, bo cały czas pilnował go wartownik. W tym czasie w domu matka płakała, że nie mamy w co się ubrać, a mróz taki był na zewnątrz, że aż trzeszczało w oknach. Żołnierze zobaczyli, że rzeczywiście byliśmy prawie nadzy, bo mój ojciec nie pracował, tylko dostawał taki zasiłek dla bezrobotnych, z którego musiał utrzymać całą rodzinę i posyłać nas do szkoły. Nie było mu łatwo znaleźć sobie jakąś dorywczą pracę, bo na początku nie znał dobrze języka polskiego. Matka płakała, że jak się z nim zobaczy i on powie, że ma się zbierać to ona to zrobi, ale i tak na to się nie zgodzili. W międzyczasie jeden z żołnierzy pojechał do miasta i kupił nam nowe buty, a potem pomagali nam je nałożyć, żeby szybciej nas zabrać. W końcu jeden z nich posłuchał matki i zaprowadził ją do więzienia. Zamknęli ją tam w celi i kazali czekać, aż przyprowadzą do niej ojca. Żołnierze tymczasem na siłę nas ubierali i wynosili do tych sani. To był tylko podstęp, żeby matka ich nie powstrzymała przed zabraniem nas i wcale nie chcieli, żeby zobaczyła się z ojcem. W końcu zaczęła krzyczeć, bo nie wiedziała co się z nami działo, więc wypuścili ją i ona przybiegła do nas, a za nią ten żołnierz. Niestety my już byliśmy na saniach, więc i ona do nas dołączyła. Sąsiedzi zaczęli nam przynosić swój chleb, żebyśmy mieli co jeść. Z domu pozwolili nam

zabrać jedynie garnek, trochę warzyw, małą poduszkę, kocyk. Nawet pierzyny nie pozwolili nam zabrać, bo mówili, że tam jest dla nas wszystko nowe przygotowane. Mówili, że niedaleko jedziemy i że to tylko następne województwo. Wywieźli nas do stacji kolejowej Horyń, nad rzeką Horyń. Wsadzili nas wszystkich do wagonu, a że to był pociąg towarowy, to musieli nas zamknąć drutem, żeby nikt nie uciekł. Trzymali nas tak przez cały dzień i następną noc, bo przez ten czas zwozili innych ludzi. To była pierwsza tura wywózki i najpierw zabierali rodziny gajowych, leśniczych, policjantów, nauczycieli i dyrektorów. W drugiej turze zwozili kułaków, czyli wszystkich bogaczy. Byliśmy tak zamknięci bez wody, bo mało jej wzięliśmy. Mówili nam, że niepotrzebna nam jest, bo tam jest wszystko. Dopiero, gdy wszystkich przywieźli i pozamykali w tych wagonach, wreszcie ruszyliśmy, a transport ten był wielki, bo słychać było jak wszędzie skrzypiało i stękało, gdy lokomotywa ruszyła. Jechaliśmy około 3 tygodnie, nikt czasu nie liczył, bo nie było jak. Widzieliśmy tylko czy jest noc czy dzień przez szpary w wagonie. Więcej staliśmy na bocznicach, niż jechaliśmy, bo wartownicy pilnowali i przepuszczali przodem inne pociągi, a nas puszczali na koniec. W naszym wagonie było przeszło 40 ludzi, mały otwór w podłodze, który służył za toaletę i mały piecyk w kącie, a obok piecyka kilka drewienek. Dorośli zajmowali się paleniem w tym piecu. Niestety nikt nie przynosił nam ani wody, ani chleba. Dojechaliśmy do ostatniej w tym kierunku stacji kolejowej Plesieck, dalej były tylko drogi, rzeki i jeziora, a że to była zima, więc wszystko było zamarznięte. Wszystkie bagaże były wiezione osobno, a my mieliśmy przy sobie tylko to, co zabraliśmy ze sobą do wagonu. Wszystkich nas ładowali na samochody. Te samochody miały na pace po dwóch stronach piece na drewno i w tych piecach palili i od tego ciepła działał silnik. Auta zasłonięte były plandeką. Nas tam wsadzili i było bardzo ciemno, tak że nie wiedzieliśmy dokąd jedziemy. Pamiętam, że strasznie śmierdziało tam jakimś smarem i matka zaczęła wymiotować. Wieźli nas tak cały dzień i noc, aż w końcu się zatrzymaliśmy. Wysiedliśmy z tych samochodów i była tam tylko budka, wkoło lasy i wielkie jezioro. Była to wioska Zaozierie w Obwodzie Archangielskim. Stał tam ciągnik na gąsienicach takich, jakie mają czołgi i przyczepione do niego prymitywne sanie -długie, szerokie, zbite z pali podobnych do słupów telefonicznych. Załadowali na te sanie nasze bagaże, bo dalej nie było już drogi dla samochodów. Nas dali na mniejsze sanie konne. Wieźli nas przez środek jeziora od rana do wieczora. Dowieźli nas późnym wieczorem do przygotowanych drewnianych, piętrowych baraków. W niektórych mieszkali już Ukraińcy z połtawskiej guberni. Ich przywieźli tam kilka lat wcześniej i zdążyli już się przyzwyczaić do takiego życia. Zajmowali się łowieniem ryb i nawet pobudowali sobie chatki blisko jeziora, a gdy odjeżdżaliśmy płakali, że nas zabierają, a oni tam zginą, ale o tym później... W barakach było już napalone specjalnie dla nas. W każdym z nich były wydzielone pokoiki dla każdej rodziny, a w nich piecyk, łóżko i prymitywny stół z nogami zbitymi na krzyż. Pokoje te miały około 9m kw. W naszym pokoju mieszkała matka i nas sześcioro, ojca nie było. Jak wyjeżdżaliśmy Rosjanie mówili nam, żebyśmy nic nie brali, bo tam miało być dla nas wszystko przygotowane, a tam nie było nic więcej. Nie wiedzieliśmy czy płakać, bo to nic by nie zmieniło. Mniejsze dzieci tuliły się do matek, bo bały się. Wkoło były same lasy, a przy -40 stopniach lub nawet -50, lasy trzeszczały, że wydawało się jakby to karabiny gdzieś strzelały. Tam jak przez okno ktoś wylał garnuszek wody, to na ziemię spadał lód. Podłogi nie było, była za to taka glina deptana. Między pokojami w ścianach zrobione były małe okienka 20x20cm, przez które mieliśmy rozmawiać z sąsiadem. Wieczorami mieliśmy zebrania w świetlicy, na które musieliśmy obowiązkowo iść, bo na nich mówili nam, że nie zobaczymy Polski tak, jak nie widzimy prawego ucha. Mówili też, że tutaj będziemy żyli i pracowali. Wydzielili dla nas 500g chleba na 24 godziny dla pracującego, który wyrabia normę, 200g dla niepełnoletnich, ale co drugi dzień tego chleba nie dawali, bo musieli go przywozić z Archangielska. A najgorsze było to, że naszego bagażu nie przywieźli. Nam powiedzieli, że pod saniami załamał się lód na jeziorze i wszystko zatonęło. Zostaliśmy w

tym, co mieliśmy na sobie, a i to się nie nadawało na tamte warunki. Tam dla pracujących dawali uszankę, kufajkę, watowane spodnie, walonki (ciepłe buty do kolan, nieprzepuszczające wody) i woreczek na nos zawiązywany z tyłu głowy. A pracowało się obowiązkowo od 16 roku życia. Gdy nie udało im się dostarczyć chleba, dawali nam zupę, za którą potrącali pracującym rodzicom z pensji, bo to była płatna zupa. Tego nawet nie można nazwać zupą, bo była to ryba z wszystkimi wnętrznościami ugotowana w wodzie. Jeśli w jakiejś rodzinie było np. siedem osób, to dostawali oni 5 porcji, bo nie starczało im tej zupy dla wszystkich. Matka jak dostała zupę to nawet nie rozlewała do misek, a my zamiast się dzielić, kłóciliśmy się o to, kto ile łyżek zje. Jak dostawaliśmy chleb, to mama rozdzielała nam po kawałeczku, a my płakaliśmy, że chcemy więcej. Ona też płakała, bo wszyscy byliśmy głodni, a nie mogliśmy zjeść więcej, bo nie wiadomo było kiedy dostaniemy następny chleb. Raz nie wytrzymała naszego płaczu i oddała nam resztę chleba, a na drugi dzień nie dostaliśmy nic do jedzenia, ale milczeliśmy, żeby nie miała wyrzutów sumienia, że nam uległa. Rosjanie mówili nam jeszcze, żebyśmy nie chorowali przez 3 miesiące i nie opuścili żadnej godziny pracy w lesie, to wtedy taka osoba będzie mogła zostać stachanowcem (przodownikiem pracy) i dostanie w nagrodę trochę więcej pieniędzy i chleba. Mój najstarszy brat bardzo chciał nim zostać. Pracował już prawie 3 miesiące, 3 dni mu zostało do końca i nie mógł wstać z łóżka, bo był osłabiony. Nie poszedł do lasu, a później brat go zaprowadził do lekarza. A tam lekarz dawał zwolnienie tylko jak ktoś miał gorączkę, a jakby nawet umierał, a nie miałby gorączki, to nie dawał. Mój brat niestety nie miał gorączki. Tamten lekarz nie był prawdziwym lekarzem, on tylko miał sprawdzać czy ktoś ma gorączkę. Moja mama rozchorowała się, starsza siostra i najstarszy brat też, ale musieli pracować. W domu zostawałem tylko ja, młodsza siostra i najmłodszy brat. Obok tych baraków otworzyli szkołę i kazali nam do niej chodzić. Młodsze rodzeństwo było za małe, więc z naszej rodziny chodziłem tylko ja. Polaków było kilkoro, reszta to sami Ukraińcy. Ja byłem trochę mądrzejszy i od razu poszedłem do 3 klasy. Język był podobny, więc nie było przeszkód. Nauczyłem się go w domu, bo to było na Białorusi i tam całą rodziną chodziliśmy do kościoła, a wtedy mieszkali tam też Polacy, Białorusini, Ukraińcy i Niemcy i z każdym trzeba było się jakoś dogadać. Ja chodziłem do tej szkoły i chciałem sobie jakoś zarobić na zeszyt i ołówek. W szkole była taka komórka, w której naprawiali sieci rybackie i ja tam się nająłem do pomocy. Nawet jak były wakacje, to ja tam całe wakacje chodziłem i pomagałem. Tam na cały rok dawali jeden lub dwa zeszyty i musiało jakoś wystarczyć. Pewnego dnia przyszedłem do szkoły bez zadania domowego, bo skończył mi się zeszyt. Moja nauczycielka Antonina Panasiewna-Orłowa całą lekcję opowiadała nam o Leninie, Stalinie i Rosji, a my opowiadaliśmy jej o warzywach i owocach, które u nas rosną tj. pomidory, ogórki, bo ona znała je tylko z książek. Ale wracając do tego zadania domowego, doszła kolej do mnie i ja mówię jej, że nie mam, bo nie miałem miejsca w zeszycie, żeby napisać. Ona zaczęła krzyczeć, że mogłem sobie na czole napisać. We mnie złość się zebrała i powiedziałem, że u nas w Polsce w wychodku jest więcej papieru, niż u nich w szkole. Ona mnie złapała za rękę i próbowała zaciągnąć do dyrektora, ale ja się złapałem ławki i ona puściła mnie i pobiegła po niego sama. Jak przyszli do klasy, to on zawołał mnie do siebie i ja poszedłem z nim. Pytał się mnie dlaczego nie zrobiłem tego zadania i wytłumaczyłem mu, że skończył mi się zeszyt i opowiedziałem co się zdarzyło na lekcji. Po chwili przyszedł miejscowy policjant, zabrał mnie na komendę i zamknął w piwnicy. Inni policjanci poszli po moją matkę, a ona nie wiedziała, że ja jestem w tej piwnicy. Słyszałem jak komendant się pytał matki jak wychowała mnie, żebym powiedział coś takiego w szkole, a matka nie wiedziała o niczym. Pytała się co się stało, ale nie chcieli jej powiedzieć. Później się domyśliłem, że najgorzej było, że te dzieci miejscowe słyszały, że powiedziałem, że w Polsce jest lepiej, niż w Rosji. Komendant stwierdził, że to na pewno matka mnie tego nauczyła i powiedział, że jeśli to jeszcze raz się powtórzy, to nigdy nie zobaczymy ojca i ona już więcej nie zobaczy swoich

dzieci. Mnie trzymali zamkniętego do wieczora. Jak mnie wypuścili, to nawet nie poszedłem do szkoły po swoją torbę, tylko od razu do domu, a w domu matka mi sprawiła takie lanie i kazała mi być pokornym następnym razem i nie wspominać nic o Polsce. Tam było tak, że jak pytali się czy jesteś głodny, to nie wolno było się przyznać, bo zaraz chcieli wiedzieć jak się nazywasz i ukarać rodziców za to. Na następny dzień poszedłem do szkoły bez zeszytu. Zaczęła się lekcja, przyszła nauczycielka z dyrektorem i on zabrał mnie do swojej kancelarii. Patrzę, a na jego biurku leżą 4 zeszyty, książka o pionierach ruskich(harcerzach), piórnik, ołówek i czerwona chustka dla pioniera. Dał mi to wszystko i kazał się dalej uczyć. Antonina mieszkała w małym pokoiku z tyłu szkoły, a obok jej okna była górka, z której lubiłem zjeżdżać. Nigdy jej nie widziałem, ale od tamtej sprawy siedziała w oknie i przyglądała mi się. Pewnego dnia zaczepiła moją siostrę i pochwaliła mnie. Latem po szkole łowiłem ryby. Zrobiłem wędkę z patyka, sznurka i haczyk dostałem, więc jakoś mi się udało. Żyłki nie było, ale jak już przysłali w paczce, to za ostatnie pieniądze ją kupiłem. Raz udało mi się złowić dużego szczupaka, to matka go zabrała i wymieniła u ruskich na pół bochenka chleba. I od tamtej pory matka miała miejsce u takich kobiet i im sprzedawała wszystkie ryby, które złowiłem. Moja matka była dzielną kobietą, bo codziennie ubierała się ciepło i szła do lasu pracować na chleb dla nas razem ze starszym rodzeństwem, a i tak brakowało nam go, bo 4 osoby nie pracowały. Jednego dnia znowu mnie zamknęli w piwnicy. Znalazłem takie rurki, pociąłem je na kawałki, a wieczorami z drzewa wykrajałem nożem pistolet. Wszystko się trzymało razem przez gumki. Do środka wkładałem kamyczki, albo groch i jak się naciągnęło tą gumkę, to można było nawet szybę wybić. Koledzy ze szkoły pozamawiali u mnie te pistolety i wieczorem siedziałem w domu i je robiłem, gdy nagle wpadła policja. Komendant złapał mnie i pyta się, gdzie reszta pistoletów, a ja mu powiedziałem, że wymieniłem w szkole na ołówki i pióra. Zaciągnął mnie do piwnicy i zawołał matkę. Oni strasznie się bali, żebym nie wymyślił broni i nie zrobił powstania jakiegoś, bo tych policjantów było tam trzech, a ludzi zesłanych pełno. Pytali się matki czemu mi pozwala to robić, a później kazali mi powiedzieć kto ma te pistolety i wszystkim pozabierali, aż uzbierało się ich pół worka. Ojciec w domu broń miał, więc od małego miałem z nią styczność i wiedziałem jak ją zrobić. W końcu przyszła amnestia, ale nie wszyscy mogli uciekać. Moja matka ustaliła w kilkoma sąsiadami, że razem uciekniemy, chociaż byliśmy głodni i źle ubrani, ale chcieliśmy już wracać. Potrzeba nam było trochę pieniędzy, żeby wynająć łódkę, bo to było późne lato i te jeziora były roztopione. Kupiliśmy dużą łódkę na 4 rodziny i wyruszyliśmy w stronę Plesiecka. To było mniej więcej w 1942r.. Ta amnestia była ogłoszona przez Sikorskiego wcześniej, ale on stworzył ambasadorów, którzy docierali na Syberię i tam ogłaszali dopiero, bo przecież Ruscy by sami nie ogłosili tego, bo mieli darmowych pracowników. Moi starsi bracia siedzieli na sterze i wiosłowali. Płynęliśmy rzeką, aż dotarliśmy do wielkiego jeziora, gdzie nawet nie było widać brzegów i staraliśmy się je przeszyć, żeby trafić do następnej rzeki i tak dalej. Zaczęło się ściemniać, mróz ścisnął i jezioro zaczęło zamarzać. Jeden starszy brat siedział na czole łódki i wiosłem tłukł lód. My wszyscy w łódce byliśmy wtuleni w siebie, bo taki mróz był. W końcu nie dało się już płynąć dalej i wyszliśmy z tej łódki. Stanęliśmy na lodzie i zaczęliśmy krzyczeć z całych sił. Nikt nas nie słyszał. Wszyscy zaczęli żałować, że wyruszyliśmy i płakać. Nareszcie ktoś patrzy a tam daleko, daleko malutki ogień. Szliśmy długo w tamtą stronę, aż światło zginęło. Stanęliśmy i nie wiedzieliśmy, w którą stronę dalej iść. I po chwili znów się pokazało. Okazało się, że był to brzeg, a na nim chatka rybacka. Przy oknie stała butelka, w niej nafta i sznurek i to się tak paliło. Szliśmy powoli, bo bardzo ślisko było na tym lodzie i już nie mieliśmy siły iść. Tam były same małe dzieci i dorośli z tobołkami na plecach. Jedynie moje starsze rodzeństwo dawało jakoś radę. Starsza siostra i brat powiedzieli, żebyśmy odpoczęli, a oni w tym czasie pójdą prosto w stronę tego światełka i jeśli coś tam będzie, to przynajmniej wodę nam zagotują. Minęła godzina, a my dalej szliśmy i powoli zbliżaliśmy się do tego światła. A w tym czasie rodzeństwo już tam

dotarło, nagotowali wodę i na dodatek jeszcze wyszli nam na spotkanie. Do dziś pamiętam tą lampkę na parapecie. Wkoło chatki były okna, a przy nich na ścianach gruba warstwa karaluchów. Przypomniało mi się, że jak tam nam dawali zupę, to w niej też pływały karaluchy, ale nikt nie patrzył na to, tylko jadł, bo jakby wybierał, to drugi by zjadł jego porcję. Starsza pani i pan nie mieli czym zwalczać tych karaluchów, więc tego nie robili, tylko przyzwyczaili się już do nich. Ogrzaliśmy się trochę od gorącej wody i akurat widno się zrobiło. Pokazali nam drogę na stację i szliśmy tak ponad pół dnia. Dotarliśmy do przystani, ale tam był tylko dach i drzwi, taka chatka bez okien i nawet piecyka nie było, więc nie byliśmy tam długo i poszliśmy polną dróżką w stronę Plesiecka. Była noc, wszyscy byliśmy zmęczeni, nie mieliśmy siły, bo nie było co jeść, ale jakoś szliśmy. Szliśmy bardzo długo i zobaczyliśmy ciągnik z drzewem. Starsza siostra i brat wsiedli na niego i pojechali na tą stację, żeby znowu nam zagotować wodę i czekać na nas. Jechał następny ciągnik i ciągnął za sobą drzewo. Nie wolno było na nie siadać, ale jak go poprosiliśmy to nam pozwolił. Kilka osób zabrał i podwiózł kawałek. Ja przyjechałem na tym drzewie, niektórzy samochodami, a jeszcze inni nawet końmi. Spotkaliśmy się wszyscy w jakiejś gminie i tam napiliśmy się wrzątku i poszliśmy dalej. Minęły jeszcze jakieś 3 dni i na 4 dzień trafiliśmy do jakiegoś domu, gdzie wyciskali olej i wyrzucali makuchy. My nabraliśmy tych makuch do toreb i tym się pożywialiśmy. Moja rodzina na raty dotarła do stacji Plesieck. Wszędzie na podłodze siedziało dużo ludzi, a wszyscy biedni tak, jak my. Nikt nie miał pieniędzy, żeby kupić wagon, a tym bardziej coś do jedzenia. Chodzili do naczelnika, żeby dał nam wagon, ale on nie chciał go dać za darmo. A my byliśmy gotowi nawet głodni pojechać, byleby tylko jechać już do Polski. Mężczyźni z innych rodzin się zmówili i nie chcieli nas zabrać do wagonu, bo u nas nie było ojca, a jak moi bracia w łódce wiosłowali, to im to nie przeszkadzało. Matka wpadła w rozpacz i poszła się żalić do naczelnika. Ten powiedział, że zadzwoni do pobliskiego kołchozu oddalonego od stacji Plesieck o 10 km i wezmą nas tam, żebyśmy popracowali 2 miesiące, zarobili trochę pieniędzy i wtedy on nam wynajmie ten wagon. Każdy kołchoz wziął po jednej rodzinie i zarobiliśmy na wagon i parę bochenków chleba. No i naczelnik się pytał gdzie chcemy jechać, więc mężczyźni wybrali miasto Astrachań, bo tam było ciepło. Nikt nie myślał, że dotrzemy do domu, więc chcieliśmy uciec od tego zimna, bo w ciepłym łatwiej przeżyć. Było nas 40 osób, a chleba mieliśmy na dzień lub góra dwa dni. Zrobiło się 9 wagonów samych Polaków i ten transport miał swój numer. Postawili ten pociąg i nie powiedzieli nam kiedy będzie odjazd, więc musieliśmy siedzieć cały czas w wagonach. Tak samo było na stacjach, nieraz zatrzymywał się tylko na chwilę, ale czasami stał pół dnia, a my nie mogliśmy wysiąść, bo nie wiedzieliśmy kiedy odjedzie. Na jednej stacji mój starszy brat i kilka osób z innych rodzin powiedzieli, że pobiegną do stołówki i poproszą o kawałek chleba lub coś innego do jedzenia. Niestety wtedy pociąg odjechał i jak oni tam zostali, tak zostali do dziś dnia, bo nie dali rady nas dopędzić. Zostało nas starsza siostra i brat, ja, młodszy brat, siostra i matka. Każda wioska od wioski oddzielona była o pół dnia jazdy lub nawet cały dzień. I nie zatrzymywaliśmy się na wszystkich stacjach, tylko na mniejszych. Raz się zatrzymaliśmy i ja mówię do mamy, że niedaleko stacji jest wioska i pójdę, bo może akurat dadzą nam coś do jedzenia. Poszedłem, użebrałem trochę i biegnę. Dobiegłem do stacji, patrzę, a tam nie ma pociągu. Matka się załamała, bo tamten brat był starszy i nie dopędził pociągu, więc ja młodszy tym bardziej nie dam rady. Pobiegłem do naczelnika stacji, ale on nie wiedział gdzie ten transport pojechał. Znałem numer, więc mu podałem, ale on i tak nic mi nie chciał powiedzieć. Dostałem kawałek gotowanego ziemniaka i trochę chleba. Zjadłem i akurat podjechał pociąg, który jechał w tym samym kierunku, ale to był pociąg towarowy. Przyjechał następny pociąg. Pobiegłem do nich i prosiłem, żeby mnie zabrali, żebym dopędził matkę. Zabrali mnie. Okazało się, że jechało tam wojsko i rodzina wojskowych. Widać było po nich, że byli bogaci. Wszędzie mieli pełno pakunków. Konduktor pozwolił mi jedynie stać w korytarzu. Zajrzałem na chwilę do nich i zobaczył

mnie jakiś generał. Zaczął ze mnie szydzić, bo myślał, że jestem chuliganem. Mi się przykro zrobiło, aż się popłakałem i powiedziałem do niego, że mnie mama nie wychowała, żebym ja kradł i wolę poprosić o kawałek chleba. Opowiedziałem im, że jedziemy z Archangielska, ale nie wiemy dokąd dojedziemy. Kobiety się nade mną ulitowały i nazbierały mi trochę chleba, szynki i słoniny do woreczka. Dojechaliśmy do większego miasta i trzeba mi było wysiadać, bo dalej jechali w inną stronę. Pobiegłem na stację i prosto do naczelnika spytać się czy nie stoi tu gdzieś mój transport. Niestety nie było nigdzie pociągu z Polakami. Raz jechał pociąg z drzewem długim na 3 wagony i z tyłu te drzewo było jedno krótsze, inne dłuższe, więc zrobiły się takie luki i ja do jednej z nich wszedłem. Chciałem po prostu jechać na przód, żeby dogonić matkę. Jechałem z nadzieją, że mi się uda. Głodny nie byłem, bo ludzie dawali mi trochę jedzenia, a nawet biedniejsi potrafili mi ukraść. Jechałem tak 2 dni i cały zdrętwiałem, aż nie mogłem stamtąd wyjść. Jakoś mi się udało i powoli doszedłem do stacji. Znowu poszedłem do naczelnika, tak jak na każdej stacji. Niektórzy pomagali mi, ale inni wołali po policjanta, a ten prowadził mnie do domu dziecka, bo byłem bez rodzica. Udało mi się uciec i wsiąść do następnego pociągu. Niestety na każdej stacji musiałem wysiadać i sprawdzać czy nie ma tam mojego transportu. Raz zobaczyłem biednego człowieka, który zbierał okruszki na stacji i dałem mu trochę chleba, cukru i słoniny. Popatrzył na mnie takim wzrokiem, że pewnie do tej pory tak na mnie patrzy z nieba. Obok kasy z biletami była budka, a w niej kobieta, która dzwoniła i przyjmowała te wszystkie pociągi. Opowiedziałem jej swoją historię i mówi do mnie, żebym odpoczął na podłodze, a ona się tym zajmie. Trzymałem w rękach woreczek i zasnąłem ze zmęczenia, a jak się obudziłem woreczka już nie było. Ona dała mi trochę chleba i talon kolejowy, ale złapał mnie policjant. Znowu uciekłem przed domem dziecka i pobiegłem do następnego pociągu. Trafiłem na wojsko i ci też mnie zabrali. Dojechałem do stacji Syzrań i pobiegłem do naczelnika. Siedziała tam młoda kobieta, którą poprosiłem, żeby zadzwoniła do następnej i poprzedniej stacji czy jest transport o tym numerze. Okazało się, że ja go wyprzedziłem. Kobieta zabrała mnie do łaźni, oddała ubrania do pralni, nakarmiła mnie i kazała czekać, aż ten transport dojedzie. To już był 9 dzień odkąd wysiadłem z wagonu matki. Nie dałem rady czekać, więc dała mi chleba i kanapki w woreczek oraz bilet na pociąg powrotny. Dojechałem do małej stacyjki. Pociąg stanął, a ja wybiegłem do budki do dyżurnego i pytam się go, czy jest pociąg o moim numerze, a on na to, że jest i stoi na bocznicy. Okazało się, że był pusty, bo jak wyjeżdżaliśmy to było 9 wagonów, a potem rozczepili to na dwa pociągi o innych numerach. Jeden miał 3 wagony, a drugi 6 i oba jechały w innych kierunkach. W całym tym zamieszaniu pociąg zaczął odjeżdżać, a dyżurny krzyczał żebym wsiadał, bo on nie wiedział gdzie chcę jechać. Dobiegłem i chwyciłem się ostatniego wagonu, ale nie dałem rady stanąć na stopniu. Konduktor mnie zauważył i wciągnął do środka. Załamałem się, bo ten pociąg się cofał, a ja powinienem jechać do przodu. Konduktor kazał zatrzymać pociąg na najbliższej stacji i tam wysiadłem. Nikogo nie było na tej stacji. Usiadłem w kącie i zasnąłem. Nagle przez sen usłyszałem, że ktoś mówi po polsku. Było to dwóch mężczyzn. Spytałem się ich co tutaj robią, a oni na to, że jadą, a ich pociąg stoi przy stacji. Nawet nie pomyślałem, że tam może być moja matka. Myślałem tylko, że jak pojadę z Polakami, to na pewno ją znajdę. Podbiegłem do tych 3 wagonów i usłyszałem płacz matki. Zacząłem bić w drzwi. Za nimi stał mój starszy brat, ale drzwi bardzo ciężko się otwierały. Jednak on otwierał te drzwi i pomagał wszystkim ludziom, tak jakby czekał na mnie i starszego brata. Krzyknąłem, żeby mnie wpuścili. Szarpnął tymi drzwiami i wciągnął mnie za ręce. Matka przytuliła mnie mocno i mówiła, że tamci nie mogli dopędzić ich, a ja młodszy dałem radę. I pojechaliśmy dalej. Przez kilka lat mieszkaliśmy w Kirgistanie. Gdzie chodziłem przez 6 lat do szkoły. Po II wojnie światowej przyjechaliśmy na zachodnie tereny Polski i zamieszkaliśmy w Płoninie w woj. dolnośląskim.

LISTY • OPINIE • POLEMIKI • LISTY

Poglądy zawarte w listach naszych Czytelników, publikowane na tej stronie, nie zawsze są zgodne z poglądami redakcji. Nie znaczy to jednak, że listów takich nie będziemy drukować. Będziemy. Ale przede wszystkim będziemy drukować listy krótkie i podpisane, listy, w których o coś chodzi, które są ważne. Zastrzegamy sobie — przy listach obszernych — możliwość skrótów.

Fragmenty listów, które otrzymaliśmy od czytelników spoza Bolkowa (Gdańska, Jeleniej Góry, Kamiennej Góry, Szczecina).

...Brawa za ten pomysł, przynajmniej w ten sposób zaspakajam swój lokalny patriotyzm. Jedna uwaga, koniecznie piszcie większym drukiem, dla osób starszych napewno ten druk jest nieczytelny. Zamawiam następne (dobry tytuł, kto wymyślił?)...

...Może zacznę od tego co mi się podobało to reszta pójdzie już łatwiej. Na taką ilość mieszkańców w mieście tak małym (no dobra jak dla mnie w porównaniu z Gdańskiem i całym Trójmiastem) jak Bolków to świetna sprawa. Zwłaszcza, że zajmujecie się poważnie swoimi lokalnymi sprawami (mam nadzieję, że inne gazety też czytacie). Myślę, że na miejscu jest rubryka pod tytułem: „z notatnika reportera" Mam nadzieję, że nie zniknie. Dobrym pomysłem było też opisywanie historii Bolkowa–Gaj, a także źródeł wód. Jak dla mnie było tego trochę za mało, zwłaszcza historii. Myślę, że można to robić na raty i dołączyć do tego informację turystyczną. Miłe też było opisywanie linion, na początku ktoś podawał krótką etymologię każdego z nich po czym przechodził zgrabnie do horoskopu. Ostatnie takie opisy były pozbawione historii imienia, a szkoda. ...

...Podobają mi się listowne polemiki, jednak w którymś numerze TB. miałem wrażenie, że mało brakowało, a połknęłyby całą gazetę. Widać, że nikt ich nie obcina, albo jeżeli to robi to bardzo umiejętnie. Nie znam waszego środowiska trudno mi jest cokolwiek oceniać. Ale dobre są wszelkiego rodzaju informacje, poza oczywiście reklamami. Poza tym, to jak na razie dobry jest taki podział pół na pół, reklamy z mnóstwem innych przeróżnych rzeczy. A co się stało z ogłoszeniami matrymonialnymi? Myślałem, że ja sobie coś znajdę, a tu cisza w eterze...

...„Jasmar" to twoje okno na świat", a ja myślałem, że oknem jest port gdański, albo telewizor. No, no! ...

...Dlaczego druk jest taki mały? Właściwie to domyślam się dlaczego. Pewno z powodu takich literek. Ludzie starsi to was nie czytają, no chyba, że przez lupę. A ci mają słaby wzrok jak np. ja (mam wzrok trochę lepszy jak nożoretec: on widzi tylko to co się rusza, a ja widzę to samo tylko, że w kolorach), to męczą się straszliwie i w końcu odchodzą im się czytania takiego „maczku".

...Rubryka „Wywiady" art. „Będzie dla nas pisał". Punkt 2 akapit drugi „— Przewodniczący jest organem..." kogo, czego? Jest to dowcip numeru. No i świetny rysunek z numeru 4/9. Zupełnie nie wiem dlaczego ktoś krzyczy „wody" ...

...Jako pismo lokalne skierowane do danego środowiska moim skromnym zdaniem jest jak najbardziej odpowiednie. TO co piszecie jest ciekawym początkiem i obiecuje pomyślny wzrost i rozwój. Ważną sprawą jest przyzwyczajanie ludzi do kupowania waszej gazety....

...Wyczytałem w Słowie Polskim, że wydajesz gazetę, czy to o Tobie napisali? Jeżeli tak gratuluję pomysłu i życzę sukcesów...

...Uważam waszą gazetę za jeszcze jeden brukowiec zalewający nasz kraj. Gdy zdecydują się na wydawanie gazety lokalnej będzie na pewno 100 % lepsza...

Podziękowanie ludziom dobrego serca

Zwracam się do gazety „W MIG", aby podziękować za waszym pośrednictwem Paniom ze sklepu meblowego, Panu z piekarni, wszystkim ofiarodawcom, Panu który to wszystko dostarczył oraz Panom ze sklepu w Rochowicach, że nam pomogli.

Z całego serca dziękuję
Babcia z wnuczkami

Nieszczęśliwy rok Polaków 1939—1940,
10 lutego z piątku na sobotę.

Sybir

Ojczyzno nasza, ziemio ukochana, w 39 roku cała od wschodu
i zachodu bombami i krwią zalana.
Nie dość, że na pół rozebrali, to jeszcze na Sybir wysłali.
Dziewiąty luty będziemy pamiętali, jak przyszli Sowieci,
gdyśmy jeszcze spali.
I nasze dzieci na pół rozespane i przestraszone płakały,
Gdzie wy nas bierzecie i dokąd nas wieziecie. Odpowiedź była
jasna,
Jedziecie w drugoju obłast — tam wszystko dla was jest
przyszykowane,
Jeszcze takie żądanie — nic nie wolno brać oprócz chleba na
śniadanie.
A naszym matkom nic nie pozostało jak stwierdzenia — nie
mamy chleba,
Bo jest zarobiony do pieczenia.
Jedni Sowieci pilnowali matek i ojców, żeby nie uciekli,
A drudzy siłą wynoszą nasze małe dzieci i ładują na sanie.
Na długoletnie albo na wieczne z Ojczyzną pożegnanie!
O mój święty Boże stale powtarzali i już tego chleba polskiego
Długo, długo nie próbowali.
Na główną stację nas poodwozili i w towarowy wagon jak
bydło wsadzili.
Zaryglowali i zakręcili, a przy każdym wagonie wartownika
postawili.
O straszna godzino! O straszna godzino! — to co było z nami
i innymi — cierpiącymi bólów — nigdy nie zapomnimy!
O żegnaj chato miła, o żegnaj ziemio, któraś nas karmiła!
Żegnaj słoneczko i gwiazdy złociste, my odjeżdżamy z tej ziemi
ojczystej!
Mijają doby, tygodnie mijają, raz na dzień wody i chleba nam
dają.
Mijamy Rosyję i góry Uralu i tak jedziemy dalej i dalej aż do
Ałtajskiego kraju.
Czwartego marca stanęła maszyna, a już inny transport z nami
się zaczyna.
Jedziemy autem, a potem saniami, przez tajgi wzdłuż zmarzniętymi rzekami i jeziorami.
O straszna była nasza karawana — „kipiatku" i chleb dali
nam z rana.
Dzieci zmarznięte z sań wypadały, a matki idące z płaczem
z powrotem je wsadzały.
O Polsko nasza, ziemio święta! — gdzie twoje dzieci, gdzie
twoje Orięta.
Syberyjskie tajgi przejechali — czy jeszcze Ciebie Polsko
będziemy oglądali?!
Do baraków nas tu zagnali, prymitywny stół i łóżko na sześć
osób dali.
Słoneczko złote nam tu zaświeciło, a każde dziecko, z żalu,
mrozu i głodu — do matek tuliło.
W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! — tak ze smutkiem
mijało życie ludu polskiego.
Polsko Królowo! — zlituj się nad nami!
Nad polską ziemią i nad Polakami!
Powróć, powróć nas do naszej ziemi ojczystej.
Królowo Polski — módl się za nami!

Mikołaj Marczenko
Płonina

ZWIĄZEK PATRJOTÓW POLSKICH
W ZSRR

Zarząd [illegible] w [illegible]

LEGITYMACJA CZŁONKOWSKA

Serja A Nr [illegible]

Imię i nazwisko [illegible]

Rok i miejsce ur. [illegible]

Adres [illegible]

M. P.

Przewodniczący:

Sekretarz:

Dnia 1/12 44

SKŁADKI CZŁONKOWSKIE [illegible]

Miesiąc	Wysokość składki	Podpis skarbnika
styczeń	[illegible]	[illegible]
luty	[illegible]	[illegible]
marzec	[illegible]	[illegible]
kwiecień	[illegible]	[illegible]
maj	[illegible]	[illegible]
czerwiec	[illegible]	[illegible]

STATUT ZPP

Członkiem Związku Patrjotów Polskich w ZSRR może być każdy Polak, zamieszkały w Związku Radzieckim, solidaryzujący się z ideałem ideowym Związku i płacący składki członkowskie.

ZWIĄZEK SYBIRAKÓW
ZARZĄD GŁÓWNY

LEGITYMACJA Nr 3985

ZWIĄZEK SYBIRAKÓW ZO Jelenia Góra

Marczenko
Podpis

Mikołaj
Imię

Marczenko 1928
Nazwisko Rok urodzenia

58-578 Kaczorow Połonina 9
Adres

Legitymacja wydana przez Oddział Związku Sybiraków Jelenia Gora

SEKRETARZ ZARZĄDU ODDZIAŁU — PREZES ZARZĄDU ODDZIAŁU

Czesława Szarganiec — Bożena Dudzińska

Jelenia Góra dnia 18.03 1999 roku

Legitymacja ważna po opłaceniu składek

1999 r.	I kw. ZAPŁACONO	II kw.	III kw.	IV kw.
2000 r.	I kw. ZAPŁACONO	II kw.	III kw.	IV kw.
2001 r.	I kw. ZAPŁACONO	II kw.	III kw.	IV kw.
2002 r.	I kw.	II kw.	III kw.	IV kw.
2003 r.	I kw.	II kw.	III kw.	IV kw.
2004 r.	I kw.	II kw.	III kw.	IV kw.
2005 r.	I kw.	II kw.	III kw.	IV kw.
2006 r.	I kw.	II kw.	III kw.	IV kw.

POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA
MINISTERSTWO OBRONY NARODOWEJ

KSIĄŻECZKA WOJSKOWA

Seria F Nr 043622

Marczenko
nazwisko

Mikołaj s. Karola
imiona i imię ojca

Data urodzenia 10 maja 1928

podpis posiadacza książeczki

Książeczka wydana przez WKR Legnica

Dnia 13-08 1959

stopień, nazwisko

— 2 —

I Ewidencja ogólna

1. Miejsce urodzenia

miejscowość Stolin

gromada

powiat

województwo poleskie

2. Zawód

kierowca samoch.

— 3 —

3. Wykształcenie cywilne
(nazwa szkoły lub uczelni, ilość ukończonych klas, gdzie i kiedy ukończył)

6 kl. Szk. Pow. Kirigistan Azja ZSRR.

4. Znajomość języków obcych

rosyjski

Seria F Nr 043622

— 4 —

II Przebieg poboru

1. Potwierdzenie zgłoszenia się do poboru
(nazwa WKR, Nr RKP, data, treść orzeczenia rejonowej komisji poborowej oraz adnotacje o odroczeniu zasadniczej służby wojskowej lub zaliczeniu do ponadkontyngentu)

DANE DO KSIĘGI PAMIĄTKOWEJ ZMARŁYCH W ZSRR W LATACH 1940-1956 POLSKICH ZESŁAŃCÓW, WIĘŹNIÓW I ŁAGIERNIKÓW

1. Nazwisko i imię, imię ojca /osoby zmarłej/
   Marczenko Karol - Karp

2. Data i miejsce urodzenia
   1891 wieś Pieskowka woj. Kijów

3. Miejsce zamieszkania do wybuchu wojny w 1939r.
   Stolin woj. Poleskie Pińsk

4. Data i miejsce śmierci
   Styczeń 1940 r. ZSRR

5. Przyczyna śmierci Aresztowany i więziony do ZSRR

6. Nazwisko i imię, nazwisko rodowe, pokrewieństwo w stosunku do w/w zmarłego oraz adres informatora Syn Marczenko Mikołaj
   Płonina 9
   59-420 Bolków woj. Dolnośląskie

7. Dodatkowe dane: Na pisemnom prośbe matki naszej w roku 1941 przyszła odpowiedź od Stalina że Twój Mąż i ojciec dzieciom odmówiony nas na zawsze, od żony i dzieci

Przekazać do Koła Związku Sybiraków lub wysłać na adres:
ZWIĄZEK SYBIRAKÓW
ul. Kamińskiego 18, pok. 314
90-229 Łódź

Data i podpis
1 Październik 2008 r.
Marczenko Mikołaj

Szkoła
w Kirgistanie

Mikołaj Marczenko
wraz z kolegami
z wojska

Mikołaj Marczenko
z siostrami Ireną
i Lubą (pierwsze
z lewej strony)
i zaprzyjaźnioną
rodziną z Rosji

1.

1937 r.?

HAUSOWICZ
Michał